

Z LEKTUR ZAGRANICZNYCH

Czytam te różne zagraniczne książki z niesłabnącym zainteresowaniem. Wprawdzie bowiem obok bardzo dobrych i dobrych, bywają oczywiście mniej dobre także (stąd ta „gwiazdkowa” punktacja), natomiast frapujący jest rejestr tematów. Pisze się mianowicie o tym, co w tej naszej branży - naukowej i profesjonalnej - aktualne i w dodatku najważniejsze. Oto kilka takich publikacji.

NIECH JESZCZE NIKT NIE GASI ŚWIATŁA

Tom rozważań [1] na różne tematy, bardzo interesujących (*****), pod nieco prowokacyjnym tytułem *Last one out turn off the lights*, (2005), przygotowali razem bibliotekarze (głównie) kanadyjscy i (trochę) amerykańscy. Nie każdy tekst zachowuje charakter i sztafaż naukowy, ale wszystkie traktują o problemach podstawowych i czynią to w sposób produktywny.

Mowa zaś głównie o zmieniającej się teraz sytuacji bibliotek i o ich przyszłości oraz o spornych relacjach pomiędzy ich zasobami drukowanymi i elektronicznymi. Wyjaśniono zresztą bez niedomówień, że te relacyjne spory są absurdalne i nikogo poza nami nie interesują. Dominuje opinia, że połączenie piśmiennictwa oraz materiałów digitalnych w jedną ofertę, jest jedynie słuszne - tym bardziej, że w edukacji podręczniki drukowane wróciły do „łask” - stanowi bowiem nową formę bibliotecznej synergii i tak powinno zostać na przyszłość.

To decyduje też, że nie trzeba gasić żadnych światel. Owszem, publiczność uważa, że wszystko co potrzebne znajdzie w internecie, a oczekuje wiadomości szybkich i łatwych. W rzeczywistości internetowi bardzo daleko do „wszystkiego”, no i odbiorcy wcale sobie z nim nie radzą, tak więc przestrzeń dla bibliotecznej mediacji jest rozległa. Poza tym biblioteka wyszukuje wiadomości najwartościowsze, najlepsze: problem w tym, że publiczność niekoniecznie o tym wie.

No więc trzeba, żeby wiedziała - tak jak i o całej zmodernizowanej ofercie. A zmodernizowana musi być bezdyskusyjnie, bo inaczej publiczność biblioteczna będzie nadal topnieć. I na temat tej modernizacji wypowiada się wielu autorów.

Ich zdaniem, musi być dla w s z y s t k i c h jasne, że najlepszy - bo darmowy i instruowany - dostęp do zasobów sieciowych jest właśnie przez biblioteki, gdzie należy spodziewać się ponadto szczególnie starannego pośrednictwa w ofercie edukacyjnej i naukowej, w tym: wobec szybko rosnących materiałów Open Access, które będą wymagały specjalnego znanstwa. Każda wyrażona tu opinia ma ten sam sens, mianowicie wszystkie biblioteki muszą w pełni pokazać co oferują, a jednocześnie (też wszystkie) powinny wykreować bardzo dobre warunki uczenia się. Wtedy o publiczność można być spokojnym.

Główna idea prospektywna zakłada, że tylko biblioteki mogą zagwarantować dostęp do rzeczywiście szerokich rejestrów tak piśmiennictwa, jak i materiałów digitalnych. Po to zaś - żeby podolać - powołuje się konsorcja, razem operujące ofertą rzeczywiście gigantyczną; a już inna sprawa, że wobec tego ma często miejsce zawężenie indywidualnego profilu zasobów bibliotek, w tych konsorcjach zrzeszonych. Trudno. Bez konsorcjów nie dałoby się opanować olbrzymiej podaży elektronicznych czasopism naukowych i edukacyjnych, które stopniowo wypierają periodyki drukowane. W niektórych badaniach intensywność używania ujawnia się jak 16: 1 - zatem oczywiste, że czasopism elektronicznych musi być w bibliotekach coraz więcej.

Ważnym składnikiem nowoczesnej oferty bibliotecznej muszą być usługi zdalne, szczególnie informacyjne, nie tylko katalogowe - dostępne przez sieć, z dowolnego miejsca i o każdej porze: trzeba żeby ich podaż systematycznie rosła. A z drugiej strony podkreśla się ewentualnie rosnącą rolę k a ż d e j biblioteki jako publicznej przestrzeni, miejsca środowiskowych spotkań i bezpośrednich kontaktów, na co gdzie indziej okazji i możliwości jest coraz mniej. No i autorzy są zgodnego zdania, że wszystkie biblioteki mają także bezwzględny obowiązek realizacji przysposobienia informacyjnego („Information literacy”).

Według szeregu opinii, dobrą przyszłość mogłyby bibliotekom zapewnić nowe, w ł a s n e wyszukiwarki, gdyby okazały się lepsze (sprawniejsze i prostsze) niż te, które już istnieją. Nie ma więc nic ważniejszego, niż to, żeby je skonstruować, wykorzystując do tego ewentualnie nowe warianty metadanych. Czy to w ogóle, możliwe? Nikt z autorów nie powiedział, że nie.

Na razie w skali międzybibliotecznej scala się katalogi i oswaja obecne metadane. To oczywiście jeszcze nie jest to, o co chodzi, ale może będzie? Gdyby zaś rzeczywiście bibliotekom - do tego wszak przygotowanym — udało się wykreować nowe i łatwe w użyciu formuły wyszukiwawcze, to zasięg bibliotek. Wśród nowych, zdalnych narzędzi bibliotecznych, kilku autorów lansuje błogi - traktowane już to jako zewnętrzny rejestr podstawowych ofert biblioteki, bądź/oraz jako kronikarski zapis wydarzeń lokalnych. Sugestie odnoszą się wprawdzie do bibliotek publicznych głównie, ale z propozycją stosowania również w bibliotekach akademickich. Krzyżuje się zaś w tych opiniach zachęta, aby uczynić z elektroniki główne narzędzie p r o m o c y j n e , nastawione zwłaszcza na młodszą część społeczeństwa.

Idea promocji towarzyszy również sugestiom, żeby w koncepcjach bu d o w y bibliotek zrezygnować z czystego, oszczędnego funkcjonalizmu, na rzecz narzucającej się estetyki oraz użytkowniczej wygody. To ma być miejsce, gdzie publiczność nie tylko musi, ale chce przychodzić, także ze względu na dodatkowe atrakcje.

Zaskakujący jest natomiast sygnał kryzysu kanadyjskich bibliotek szkolnych, które masowo polikwidowano: ktoś im przedwcześnie pogasił światła. Ich powinności miały przejąć biblioteki publiczne, ale nie dały sobie rady. Opinia jest taka, że bez bardzo dobrych bibliotek szkolnych, nie ma mowy o porządnej edukacji.

Kiepską ocenę wystawiono też kształceniu bibliotekarzy w Kanadzie, zwłaszcza w kontekście prognozy, że w 2010 r. połowa obecnego personelu bibliotecznego przejdzie na emeryturę. Takiej luki system (dwuletnie „policencjackie” studia magisterskie) nie zapełni, nawet przy wzmożonym zatrudnianiu dziedzinowych specjalistów z innych dyscyplin. Mamy więc kierunek emigracji naszych absolwentów studiów INB?

O samym programie kształcenia trudno wyrokować. Każdy zgłasza jakieś postulaty, ale gdyby uwzględnić wszystkie, to w ogóle nie byłoby żadnych studiów. Ciekawe natomiast, że programy kształcenia INB w uczelniach kanadyjskich akredytuje... amerykańskie stowarzyszenie bibliotekarzy (ALA).

O bibliotekarskich stowarzyszeniach traktuje zresztą odrębny segment książki i uwagi są bardzo ciekawe. Jest zgoda, że te stowarzyszenia są potrzebne, zwłaszcza jako spoiwo zawodowe i profesjonalna siła, kreująca przyszłość, ale bieżące oceny są mocno krytyczne. Narzeka się na biurokratyzację stowarzyszeń, zarówno dużych (np. bibliotekarzy akademickich w USA: 12 000 członków), jak i niewielkich (bibliotekarzy kanadyjskich: 2. 100 członków), na nikły wpływ na przebieg zdarzeń oraz na rozmijanie się z oczekiwaniami członków.

Żeby nie zgasło stowarzyszeniowe światło, trzeba nastawić się na całkowicie inną mentalność pokolenia Y (do 30 lat) oraz pokolenia X (30-40 lat) i stworzyć rozbudowaną sieć wewnętrznych kontaktów elektronicznych. Tymczasem stowarzyszeniowe kasy są coraz biedniejsze, a może być jeszcze gorzej,

kiedy inicjatywa Open Access przekreśli zarobki z wydawania książek i czasopism.

No i jest w tomie wypowiedź młodej bibliotekarki, wysoce stowarzyszeniem sfrustrowanej, bo nie znalazła tam ani zawodowych porad, ani poczucia przynależności. Wyodrębniono wprawdzie grupę członków młodych, ale powstało w ten sposób jedynie bezproduktywne getto. A powierzona funkcja okazała się czysto ceremonialna: nie było i nie ma szans, żeby przebić się przez koterię zasiedziały i zadowolonych „oldboyów”. Zaś jeszcze trochę i nie będzie ani oldboyów, ani (zniechęconych tymczasem) adeptów. Jest o czym pomyśleć.

REFLEKSJE O WSZYSTKIM

Na książkę kolejną [2] zwracam uwagę z mniejszym entuzjazmem (***)

Jej amerykański autor, Felix Chu (Chu, 2005), jest znany z licznych publikacji, ale w czasopiśmie i tomach zbiorowych, więc skondensowanych oraz redaktorsko zweryfikowanych. W samodzielnej książce, stylizowanej pod M. Gormana, dyscypliny już zabrakło: traktuje niemal o wszystkim, więc dość powierzchownie - chociaż oczywiście tematyka jest aktualna. Poza tym zbyt dużo pisze Chu o samym sobie i o swojej dysertacji doktorskiej, co nie musi wszystkich ekscytować.

Jak przypomina -jeszcze w 1934 r. Jose Ortega y Gasset uznał, że książek w obiegu jest za dużo i bibliotekarze powinni coś z tym zrobić. No więc robią: tym bardziej obecnie.

Istotą tego zawodu jest wszak mediacja pomiędzy podażą komunikacyjną (Chu pisze: informacyjną) a społeczeństwem, żeby zapewnić do tej podaży swobodny i produktywny dostęp możliwie każdemu. Żeby zaś tak było, trzeba w tę podaż wprowadzić jakiś porządek, zastąpić chaos przejrzystą i użyteczną strukturą, czyli dokonać i n d e k s a c j i . Wychodzi więc na to - powiada autor - że niekoniecznie doceniane procesy indeksowania (po dawnemu: opracowania), są dla bibliotekarstwa równie fundamentalne, jak procesy usługowe.

Tym usługowym zaś musi towarzyszyć rozległa otoczka działań aktywnych. Obrazowo Chu określa informację jako surowiec, wiedzę zaś - jako produkt ugotowany. Biblioteka oferuje to i to, ale publiczność może nie rozróżniać. Wobec tego bibliotekarz musi być dla użytkowników nie tylko oferentem, ale również przewodnikiem, rekomendując to, co w konkretnych okolicznościach jest właściwsze.

Chu, w końcu bibliotekarz akademicki, pomstuje (tak jak armia innych bibliotekarzy), że studenci nie mają żadnego pojęcia o korzystaniu z bibliotek i z sieci, więc przysposobienie biblioteczno-informacyjne stanowi dla każdej uczelnianej biblioteki powinność obligatoryjną. Koniecznie przy współpracy z naukową kadrami dydaktyczną, z którą - twierdzi autor (i nie tylko on) - współpracuje się fatalnie. Radzi więc, żeby ustalić jakąś rozsądną liczbę kontaktów oraz wypracować formę dogodną dla obu stron, przestrzegając zasady równości i partnerstwa, a przy tym reprezentując zawsze w tych kontaktach całą bibliotekę.

Złe kontakty są faktem, ale Chu nie ma racji, winiąc tylko jedną stronę. Niby jestem z branży, a nieraz też nie potrafię porozumieć się z bibliotekarzami na uczelni. To jest bardzo skomplikowana kwestia.

Natomiast ważna. Jak już bowiem sygnalizowałem, Chu oraz inni lansują pogląd, że indeksacja, opracowanie, więc utylizacja podaży komunikacyjnej, będzie współwyznaczała główny sens funkcjonowania bibliotek. To zaś oznacza, że musi dokonywać się stałe sortowanie tej podaży i wybór, zatem jednocześnie „ukrycie”, odrzucenie części oferowanych materiałów. Tego nie da się

zrobić odpowiedzialnie bez konsultacji specjalistów - częściowo bibliotekarzy dziedzinowych, ale przede wszystkim właśnie: pracowników nauki. Więc czy ktoś chce, czy nie, współpraca musi być nawiązana.

Generalnie zaś, Chu szkicuje zręby perspektywnego bibliotekarstwa. Jego zdaniem, szykuje się konieczność nowej utylizacji komunikacyjnej oferty, do czego będą niezbędne nowe reguły katalogowania, nowe metadane i nowe zasady aktywnej mediacji. W rezultacie użytkownik powinien otrzymać to, czego potrzebuje oraz nieco więcej, natomiast bez przeszkód i w zachęcającym „opakowaniu”. Wtedy uzna bibliotekę za instytucję pierwszej potrzeby.

A nie jest łatwo ustalić, kto czego chce. Jedni oczekują obsługi przeciętnej lecz szybkiej, inni - możliwie najlepszej. Niby każdemu według jego oczekiwań, ale nie do końca. W trosce bowiem o społeczny poziom mentalny, bibliotekarze powinni zabiegać również o poziom jakościowy komunikacyjnej oferty. No bo jak nie my, to kto?

BIBLIOTEKA W STRUKTURZE UCZELNI

Na częściowo zbieżny temat współpracy bibliotek akademickich z pracownikami nauki, napisał książkę [3] Amerykanin, Paul Jenkins i wydał ją w wydawnictwie angielskim (Jenkins, 2005). Jest zaś na tyle interesująca (***), że warto wspomnieć o niej również w Polsce.

Jenkins proponuje, żeby przyjrzeć się pracownikom nauki bez uprzedzeń, natomiast życzliwie. To przecież ludzie, którzy dobrze albo doskonale opanowali swoje specjalności, a także umiejętność sprawnego komunikowania, przeważnie też lubią swoją pracę i zwykle życzliwie traktują studentów. No więc to jest dobry fundament, na którym można oprzeć współdziałanie - pod warunkiem poszanowania zegarka oraz kalendarza. Gigantyczne bowiem spiętrzenie powinności naukowych, dydaktycznych i administracyjnych sprawia, że ludziom nauki chronicznie brakuje czasu. Bibliotekarze nie zawsze to rozumieją i może dlatego natykają się czasami na reakcje aroganckie.

Jenkins przyznaje, że współpraca bibliotekarzy i pracowników nauki jest trudna. Mimo (i tu powołuje się na badania) wielu podobieństw w syntetycznych portretach psychologicznych: np. jedni i drudzy to przeważnie introwertycy. Dydaktycy często lekceważą rolę bibliotek w procesach kształcenia i o żadnym przysposobieniu studentów nie chcą nawet słyszeć. Ale są i tacy, którzy dogadują się z bibliotekarzami całkiem przyzwoicie. Autor namawia do spolegliwości, bo wszak wykładowcy mają na studentów największy wpływ - oraz do „podkupowania” przychylności nauczycieli akademickich, przez stworzenie im w bibliotekach dobrych warunków dla studiów własnych oraz w inny sposób, np. przez organizację w bibliotece spotkań autorów (ze swojej uczelni) „tegorocznych” książek naukowych, a nawet po prostu przez nieformalne spotkania towarzyskie.

Jednym z podstawowych obszarów wspólnych działań powinien być dobór (i selekcja) bibliotecznych zasobów - przy czym zdumiewa mnie, że autor ma na myśli tylko piśmiennictwo. Potrzeby programowe lepiej znają dydaktycy, potrzeby studentów: bibliotekarze. Jeśli więc połączy się siły (acz bez nadmiernego angażowania profesorów), to efekt powinien być dobry. Z takim marginesem bezpieczeństwa, że ostateczne decyzje podejmuje przecież dyrektor biblioteki. Jest i ciekawostka: Jenkins przywołuje sondaże sugerujące, że w kilku bibliotekach akademickich taką samą intensywność obiegu ujawniły zbiory dobierane wyłącznie przez pracowników nauki, jak i dobrane wyłącznie przez bibliotekarzy.

Równie ważnym rewirem współdziałania musi też być informacyjno-biblioteczne przysposobienie studentów, praktykowane wprawdzie od dawna, lecz teraz wymagające nowej formuły i skali, toteż określenie *Information literacy*

nie sprowadza się tylko do zmiany nazwy. Mianowicie pokolenia „milenialne” (urodzeni po 1980 r.) garną się wprawdzie do nauki i wiedzy, ale - twierdzi Jenkins - muszą być do nich dobrze umotywowane, no i bazują głównie na elektronice. Dlatego przysposobienie (w autorskiej wersji: nastawione głównie na internet - więc autor trochę sam sobie przeczy) powinno być realizowane przy współpracy dydaktyków, bo wtedy jest w pełni ukonkretnione. Najlepiej też żeby było indywidualne, natomiast wskazówki ogólne dla wszystkich wystarczy przedstawić w formie stałych instrukcji elektronicznych.

Współpraca jest nieuchronna, a inicjatywa w zakresie przysposobienia informacyjno-bibliotecznego studentów należy zawsze do bibliotek akademickich. I trzeba zaczynać już na pierwszym roku studiów. Jenkins załącza długą listę umiejętności do opanowania w tym trybie, ale nie dostrzegam tam niczego, co wykraczałoby poza ogólnobiblioteczne standardy takiego przysposobienia.

Natomiast autor nalega jednak (i to jest ten wspomniany paradoks) na kontynuację bibliotecznego wsparcia piśmiennictwa - równoległe do mediacji w komunikacji elektronicznej. A to dlatego, że przecież nie wszystko jest w internecie, no i nie ma tam żadnej weryfikacji jakościowej. Poza tym w dostarczaniu treści wartościowych piśmiennictwo wciąż jest skuteczniejsze, a w przeszukiwaniu podaży, biblioteczne indeksy i katalogi sprawdzają się znacznie lepiej, niż wyszukiwarki elektroniczne w swoim obszarze. No dobrze, ale mam wobec tego retoryczne pytanie: czemu w programach przysposobienia (w tym samym tekście) nie ma ani zdania na temat korzystania z piśmiennictwa?

W ogólnej konkluzji Jenkins sugeruje, że bibliotekarze akademicy muszą być szczególnie aktywni i progresywni, korzystając ze zróżnicowanych technik marketingowych, nastawionych z jednej strony na studentów, a z drugiej - na pracowników nauki. Jest to jednak awangarda bibliotekarstwa, usytuowana w szczególnie newralgicznym otoczeniu: to zapewne tu rozstrzygną się przyszłe losy bibliotek. Już teraz trzeba więc promować w nich wszystko, w czym biblioteki pośredniczą, a szczególnie nowe formy usług. Najświeższą z nich jest oferta na dystans, przez sieć — przeznaczona częściowo dla wszystkich, a po części: na użytek studentów zdalnych, których w USA jest już blisko trzy miliony.

Książkę dopełniają wypowiedzi pracowników nauki na temat bibliotek, ale tylko z jednego (dla autora: macierzystego) kolegium, spisane na 50 stronach. Ani to jednak ciekawe, ani opiniotwórcze. To najślabszy segment całej publikacji.

ZAPLECZE INFORMACYJNE

Znalazłem też zbiór tekstów [4], autorów w zasadzie amerykańskich (dwie osoby są z Australii), na temat współczesnego zaplecza informacyjnego bibliotek (*The reference collection*, 2005), czyli tego co nazywano dawniej księgozbiorem podręcznym, ale obecnie już z uwzględnieniem zasobów elektronicznych. Obok wypowiedzi ciekawych, są też mniej ciekawe, lecz tych jest niewiele (***), a tom dopełniają rejestry różno tematycznych baz internetowych oraz wybiórcza lista najlepszych, darmowych stron WWW, ułożona alfabetycznie.

Zaletą bibliotecznych zasobów informacyjnych jest nie tylko to, że są gromadzone i udostępniane w jednym miejscu, i w dodatku bezpłatnie, ale również to, że podlegają waloryzacji i preselekcyjnej rekomendacji. Teraz, kiedy z zasady są to zasoby mieszane, elektroniczno-pismienne, publiczność tym bardziej potrzebuje bibliotecznego pośrednictwa - twierdzą zgodnie wszyscy autorzy. Jakkolwiek nie brakuje osób, którym wystarczy Google, ale to głównie ci, którym zadowalają się byle czym.

Nikt nie neguje, że oto nastąpiła era informacji elektronicznej, ale informatory drukowane ciągle są w masowym obiegu - zwłaszcza przewodniki, mapy, słowniki. Są bowiem łatwiejsze w użyciu, trwalsze (strony WWW znikają szybko, a egzystują najwyżej do 4 lat) i znacznie tańsze, chociaż oczywiście trudniej je aktualizować. W gronie współautorów tomu opinia jest taka, że przetrwają jeszcze długo.

Nowe okoliczności informacyjne rozkręciły spiralę oczekiwań wobec bibliotek publicznych, ze względu na ich uniwersalny charakter. Nie wszystkie sobie radzą, brakuje bowiem zarówno środków, jak i umiejętności. Poza tym to właśnie od bibliotek publicznych oczekuje się tworzenia własnych baz danych na swoich stronach WWW, związanych ze środowiskową informacją lokalną, a to jest zadanie pracochłonne i trudne.

Natomiast w amerykańskich bibliotekach szkolnych wciąż jeszcze dominują drukowane zasoby informacyjne. Niby zadanie promocji internetu oraz nauki korzystania z sieci jest wpisane w rejestr powinności tych bibliotek, ale z realizacją bywa marnie. Trochę dlatego, że tamtejsze biblioteki szkolne są przeważnie jednoosobowe i bibliotekarzom na przysposobienie elektroniczne nie wystarcza czasu. Ale również przez brak umiejętności. Blisko bowiem 60% bibliotekarzy szkolnych w USA ma ponad 45 lat i ci kiepsko radzą sobie z internetem.

Rezultat jest taki, że potem studenci nie umieją racjonalnie korzystać z oferty sieciowej i niezbędne okazuje się masowe przysposobienie informacyjne w bibliotekach akademickich od razu na początku studiów. Ciekawe zaś, że tendencja do korzystania z internetu, dominująca (po przysposobieniu) w pierwszym i drugim roku studiów, następnie słabnie, bo później szuka się już informacji możliwie wiarygodnych.

Wielu autorów podkreśla wysoką użyteczność „gotowców” informacyjnych, więc stron odpowiednio przygotowanych przez biblioteki, w oparciu o statystykę pytań i zleceń. Sygnalizowane wywoławczo na głównych stronach bibliotek, uporządkowane strukturalnie i połączone linkami z różnymi bazami, mogą decydować o informacyjnej „sile” bibliotek. Są bowiem dostępne przez 24 godziny na dobę i zdalnie - co np. w Australii jest niezwykle ważne, ale należy sądzić, że wszędzie.

Pojawił się również w tym tomie oryginalny wątek narastającej fali e-plagiatów, z którymi walczy się bardzo trudno, zwłaszcza, że niektóre uczelnie (w Polsce też) traktują je liberalnie. Są specjalne programy weryfikacyjne, ale nie zawsze skuteczne, bo ludzka pomysłowość nie zna granic. Zdarza się więc, że o weryfikację proszone są biblioteki akademickie i wychodzi na to, że - przynajmniej wobec plagiatów studenckich - są stosunkowo skuteczne. A już inna sprawa, że od tego nie przybędzie im zapewne przyjaciół: czy się chce, czy nie, to jest antymarketing.

KSIĄŻKI OMÓWIONE

- [1] *Last one out turn off the lights. Is this the future of American and Canadian libraries?* (2005). Ed. Susan E. Cleyle, Louis M. McGillis. Lanham: The Scarecrow Press, Inc., 227 s. ISBN 0-8108-5192-X (*****)
- [2] Felix T. Chu (2005): *There's another way to do it. Reflections on librarianship.* Lanham: The Scarecrow Press, Inc., 115 s. ISBN 0-8108-5191-1 (***)
- [3] Paul O. Jenkins (2005): *Faculty - librarian relationships.* Oxford: Chandos Publishing, 166 s. ISBN 1-84334-117-4 (***)
- [4] *77ie reference collection: from the shelf to the web* (2005). Ed. William J. Frost. Binghamton: The Haworth Information Press, 310 s. ISBN (***)

Jacek Wojciechowski
Instytut Informacji Naukowej i Bibliotekoznawstwa
Uniwersytetu Jagiellońskiego

Tekst wpłynął do redakcji 6 sierpnia 2006 r.